Rozmaitości

Dnia 16. Lipca **Nr 29.** 1836 Roku.

ŻAKI.

POWIEŚĆ Z 15. WIEKU.

Basnictwj ge srdce každiho narodu, a powěsti hlawnj geho krewnj žjly.
Kwěty české.

Dzieje Polski, za panowania króla Kazimiérza Jagiełły, przedstawiają nam obraz długich, bo czternasto-letnich z Krzyżakami zapasów. Obok zwycięztwem świetnych, stoją smutne, krwią szlachecką pisane sceny.

Kronikarz, wodząc czytelnika po zamczech pruskich i pomorskich, po obozach polskich i krzyżackich, trudzi uwagę i zasępia myśl wyliczaniem kilkunastu tysięcy wiosek mieczem i ogniem w téj wojnie zniszczonych. Od lat dziesięciu trwała ta uporczywa z Krzyżakami walka. Rozdrobniona w utarczki pojedyńczych hufców, pod osobnémi hetmany, ograniczała się na dobywaniu zamków, które drogim krwie okupem zaledwie zdobyte, znowu tracone, za kilkakrotném dopiéro wysileniem oręża, przechodziły w stalszą dzierzawę królewskiej ręki. Między innémi zamek Słuchów długo oblężeniem ciśnięty przez oddział królewskiego wojska, otworzył bramy swoje dowódzcy onegoż, mężnemu Jurce Dąbrowczykowi, poddając się jemu na wolę i łaskę.

Mąż ten waleczny w boju, w potrzebie krwie nie szczędzący ani swojéj, ani obcéj; składając oręż walki za uderzeniem miru z nieprzyjacielem, zwykle składał także z serca nienawiść, którą pałał ku wrogom. Czułość wrodzona jemu, nie dozwalała na pokonanym nieprzyjacielu mniej potrzebnéj wywiérać zemsty; owszém mniemał, iż łagodném obejściem się z Pomorzany, ustali panowanie królewskie nad tym dzikim do powstania podżeganym przez Krzyżaków narodem.

Z tego powodu, dostawszy w moc swoję załogę Pomorzan, która broniła zamku, dozwolił jéj wolnego powrotu do domów, li hetmanika pomorskiego, Marcina Szyszowieckiego, i kilkunastu co przedniéjszych zatrzymał przy sobie, jakoby zakładników pokoju.

Zaledwie kilka upłynęło tygodni od poddania się Słuchowa, już Marcin Szyszowiecki na zamku bawiący, człowiek chytrego serca, a dowcipnego umysłu, układném licem i schlebianiem się zręczném, podołał wcisnąć się w serce wspaniałomyślnego Polaka, i zaufanie tegoż do tego stopnia pozyskał, iż Dąbrowczyk mniéj ostrożny, jakoby należało, jął mu powierzać myśli swoje i najskrytsze zamiary; w trudnych wypadkach zasięgając rady Szyszowieckiego, takową jako dobrą i szczérze poddawaną przyjmował, i wedle niéj postępował. Polubiwszy go jako człowieka, zdrowo rzecz każdą widzącego, dnie całe trzymał go przy boku swoim, a często w towarzystwie z Marcinem wychadzał z murów zamkowych, wolnego na otwartszém polu by zażyć powietrza. Razu pewnego zaszedłszy daléj błoniami ku mieścinie opodal od zamku położonéj, ujrzał Dąbrowczyk gromadę pomorskich dzieci. Niektóre w szateczki schludne były ubrane, i obuwia miały; drugie w koszulach ze zgrzebnego płótna, bosemi nóżkami biegały po polach i piaskach. Ujrzawszy nadchodzących, skupiły się w jedno, zadziwione patrzały na starostę i towarzysza jego.

»To dziatki ziemianów naszych,« odpowiedział Szyszowiecki na zapytanie starosty; a wraz krzyknął na dzieci wrzaskliwie, łając je za to, iż tak daleko odbiegły od miasta. Wrzaskiem tym przelękłe cofać się zaczęły dzieci, i uciekać.

»Marcinie,« odezwał się starosta, »snać nie macie własnych, kiedy nie miłujecie obce dziatki. Ja zaś powiém wam, że widok dzieciątka miłym jest dla mnie widokiem, bo przypomina mi synka, któregom, jadąc na wojnę, zostawił doma. Rok drugi temu, kiedym odjeżdżał; już zaczynał pełzać; teraz biega żwawo i szabelką macha; a wszystko gada do matki, aby mu dała konia, a pojedzie za ojcem, bo mu tęskno. Ale już dawno jak żadnego nie miałem listu, i niespokojny jestem o moję Beatkę i o Jadamka mego.« To powiedziawszy Dąbrowczyk głosem żywszym, jak zwyczajnie, obrócił się ku dziatkom mową, i łagodnym wyrazem twarzy strwożone ośmielił, i odbiegłe przywabił do siebie. Otoczyły go tedy do koła, a co śmielsze i starsze na czynione pytania odpowiadały. Pytał się ich starosta o rodziców, pytał czy umieją paciorek? żali w mieście mają szkołę? a z ich odpowiedzi dowiedział się z żalem, że w kraju Pomorzan, wojnami niepokojonym, wychowanie dziatek w zaniedbanie poszło, a rodzice majętniéjsi nawet w niepewnych tych czasach zaprzestali wysyłać dzieci do klasztorów na naukę.

Wiedziony litością umyślił zatém starosta w zamku Słuchowskim założyć szkółkę; a przewidując, iż rodzice nie radzi posyłać będą dzieci swoje na naukę do zamku, o pół mili oddalonego od miasta, przedsięwziął przyjąć je pod własną opiekę, dać im gospodę i wyżywienie na zamku. Wysłany po temu do miasta Szyszowiecki, nie znalazł ze strony mieszczan uporu, a w kilka dni potém matki same przyprowadziły i oddały w ręce starosty kilkunastu chłopców, z których najstarszy, Nikodemek, nie liczył lat pietnaście.

Uradowany Dąbrowczyk, iż żądaniu jego stało się zadosyć, wszystkie ku temu potrzebne poczynił rozporządzenia; oddał dzieci pod szczególną opiekę księdza, którego miał przy swoim boku. Ten uczył ich czytania i pisania. I sam starosta godziny wolne od zatrudnień przepędzał z malenkiemi, radując się ich ochotą, ich pojętnością, i widocznym w naukach postępem.

Kiedyto się działo, król Kazimiérz, widząc z osłabieniem krzyżackiego miecza i wpływu na Pomorzan, ustaloną spokojność téj ziemi; zabrawszy z sobą hufy co przedniéjszych panów, przeniósł się obozem do miasta Torunia. Alić spokojność to była popiołu, opkrywającego jarzące węgle, które pierwszego tylko oczekują podmuchu, by płomień wydały z siebie. Jakoż Krzyżacy, którzy wójsk królewskich potęgą przyciśnieni, poddali karku; za oddaleniem się naszych, odzyskali ducha znowu i ochotę odebrania potraconych na Pomorzu zamków. Za słabi bez pomocy Pomorzan, chytrze a zręcznie do nowéj podżegali je walki, i nie bez skutku.

Szyszowiecki, który w zamieszaniach wojny podniósł się z nizkiego stanu, w którym się rodził, na człeka głośne imię mającego, rad był widzieć kraj zamącony znowu, aby w mętach mógł co ułowić. Skoro tedy powziął wiadomość o krzyżackich zamysłach, ze swojéj strony jął przemyśliwać około odebrania na powrót Słuchowskiego zamku. Zaufanie, jakie posiadał u łatwowiernego starosty, miało mu ułatwić wykonanie zamiaru. Korzystając z tego zaufania, wynalazł sposobność porozumienia się z podburzonémi na króla Pomorzany.

W takim stanie rzeczy pewnego wieczora, udawszy się do starosty, zagadał go: ażali mu wiadomo, że wszelkie co było zboże w sklepach zatęchło, i do pieczywa niesposobném się stało. Na tę nowinę rozgniewany starosta zerwał się, i na szafarza zamkowego wołać miał, którego pieczy powierzona była spiżarnia. Ale Szyszowiecki wtrzymał go mówiąc w ten sposób: »Stało się, panie starosto, winato szafarza prawda, ale i to pewna, że co szafarz popsował, tegoć sam nie naprawi. W zamku Pomorzan nie mało, którym ufać nie radzę, więc raczéj chować to w tajemnicy do jutra. Dochodzą mnie słuchy, i wam nie tajno, jako po oddaleniu się króla Kazimiérza, lud ośmielony wychodzi z kryjówek, podsuwa się nawet pod zamki. Wiadomo wam, iż nie dawno temu Chojnice dla braku żywności poddały się napastniczej zgrai. Gdybyście panie starosto rozruch robili z téj przyczyny, że żywność wasza zepsuta, możeby ztąd urosło dla was niebezpieczeństwo jakie?«

»Zgaduję myśli twoje,« rzekł starosta, »aleć rzecz pierwsza, na którą baczenie mieć trzeba, ażeby żywność była; jeżeli, jak mówicie, nasza zepsowana, starać się trzeba o inną; mnie zaś równie karać niedbałego służebnika przystało, jak nagradzać pilnych.«

»Mądrość na tém,« zagadnął Marcin, »wszystko w swoim robić czasie. Winny ukaranie niech otrzyma, ale piérwéj postarajcie się o zapasy nowe.« Starosta zamyślił się nad sposobem, jakiego się w tym przypadku miał chwycić. Marcin, spojrzawszy na twarz dumającego, przerwał milczenie, mówiąc:

»Starosto dobrodzieju mój; luboć to brak mi na słowach, ku wyrażeniu się mojéj dla was wdzięczności; wyznam, iż większego od was nié miałem dobroczyńcę, i dla tegoć miłuję was, kieby ojca własnego, a wam wierzyć, że szczérze wam radzę.«

»Miły Marcinie, jakaż tedy twoja rada?« zapytał starosta; »nie jedna twoja przystała przekonaniu mojemu. Opowiédz ją; jeżelić dobra, wdzięczeń ci będę, a że szczérze radzisz, toć wierzę; bobyś był nie człowiek, ale poczwara obrzydliwa i wyrodek, gdybyś na moje dobro nastawał, i knuł zdrady; zapominając, że nie tylko wolność, ale i życie mnie winieneś. Boć wola była królewska, abyś gardło dał, skoro pochwycony będziesz.« Zamilkł sarosta i spojrzał na Marcina, który, oczy wlepiwszy w ziemię, drżał na całém ciele, i raz to bledniał, to płonął ogniem. Starosta pomieszanie to Marcina postrzegłszy, spytał, co mu takiego?

Na to odpowiedział Marcin: »Miły panie, mowa wasza rozrzewniła mnie do tyla, i gdybym miał słowa po temu.....«

Nie dokończył Szyszowiecki, a po chwili ozwał się starosta znowu. »Nie uczono was czytać za młodu, żałujcie Marcinie.«

»Przezco mnie o tém wspominacie dzisiaj panie starosto?« zapytał Marcin. Starosta, miasto odpowiedzi, przeszedł do drugiéj izby.

Po chwili wrócił, i oddając Marcinowi pismo, rzekł: »Przypatrzcie się temu pisaniu.«

»Nie znam się na tych znakach czarnych, znana mi jeno pieczęć królewska na wosku i podpis króla: *Casimirus Jagałło Rex.*«

Znany tobie podpis króla?« zadziwiony powtórzył starosta. »Odpowiedz, czy miałeś kiedy w ręku list królewski?«

Marcin na to odpowiedział: »Fryderyk margrabia, a byłem u niego pokojowcem, pokazał mi razu jednego list króla, podpis był taki sam, taki wosk duży.«

Zaspokojony tą odpowiedzią starosta tak mówił: »List ten, gdyby w ustach czytającego zabrzmiał, nie miłe byłoby uszom twoim to brzmienie. Jako dzwon rozbity nié ma głosu, tak nie ma go rozdarty list. A ponieważ podobieństwo jedno już powiedziałem między listem a dzwonem, powiem drugie: że jako dzwon, kiedy oderwiesz od niego serce, niemy jest, tak imię królewskie oderwiéj od listu, oniemieje list, boć podpis króla, nito serce u dzwona, bez niego list nié ma rozkazującego głosu. Wyrok twojéj śmierci w twoję oddaję rękę; rozedrzéj go.« To mówiąc oddał Syszowieckiemu list króla Kazimiérza.

Marcin, nieufający, pochwycił pismo, i drżącą ręką rozdarł je, ale do połowéj tylko, do pieczęci; która że była twarda i woskiem grubo nalepiona, rozedrzéć się nie dała. Tymczasem wewnętrzna jakaś trwoga, i zgroza tak potrząsła nim całym, iż z chwiejących się rąk wypuścił papiér na ziemię. Nienadwerężona na nim pozostała pieczątka i imię całe *Casimirus Jagałło Rex.*

»Marcinie,« rzekł starosta, »widzę, żeś słaby, listowi królewskiemu podołać nie możesz; a ongi chciałeś samemu królowi.«

»Grzéchy to moje były, alem żałował za nie, i obiecałem poprawę.«

»Do rozgrzészenia brakuje pokuty; tyś nie doznał żadnéj. Obietnicę poprawy przyjąłem; dodzierzaj ją; ależ... ależ miły Marcinie, odbiegliśmy daleko od jądra, miałeś mi w dzisiéjszéj potrzebie...miałeś mówię, poddać mi radę.«

Rozmową, na teraz przerwaną, do żywego dotknięty Marcin, rad był temu nie mało, iż starosta na inny obrócił ją przedmiot.

Posłyszawszy to zapytanie, obejrzał się w koło i cichym jął mówić głosem: »Zacny panie! obowiązek wdzięczności cięży mi, i rad jestem temu, iż aby w części jednéj wypłacić się wam nadarza się pora. W mieście na dworcu moim mam w szpichlérzu podostatkiem mąki. Na miesiąc jeden wystarczy dla waszego wojska, i dla Pomorzan, znajdujących się na zamku. Jeżeli wola wasza, wyślemy poń wozy. Trzeba nam się spieszyć, aby przed jutrzejszym rankiem zdążyły na powrót do zamku. Bo nie tajno wam, iż zgraje pospolitego ludu, ośmielone zdobyciem Chojnickiego zamku, zuchwale sobie poczynają; napotkawszy nasze wozy, odebrałyby je. Nie wierzę ja i mieszczanom naszym, bo ich znam. Ostrożność radzi postąpić sobie w sposób taki, ażeby

nie dowiedziano się w mieście, komu ładują na wozy tę żywność. Dla tego wyślemy z pomorskich ludzi kilku co najwierniejszych, i nauczemy, jak się sprawić, a gdyby ich pytano, co powiedzieć mają. Tym sposobem dostaniem nowego zapasu żywności do czasu.«

»Radę twoję,« przerwał mu Dąbrowczyk, »znajduję dobrą, i przymuję ją. Dzień już blizki zachodu, spieszyć się potrzeba, i każda chwila droga. Pójdźmy potrzebne ku temu wydać rozkazy.« Stało się, jak uradzono. Otwartą bramą wyjechały z zamku cztéry próżne wozy, na każdym kilkoro siedziało chłopa, same Pomorzany.

Wracał Dąbrowczyk do swojéj komnaty, kiedy zatrzymany został dzieciakami, którzy wypuszczeni ze szkoły rozbiegli się po zamku, krzykiem i hałasem napełniając cały. Postrzegłszy idącego starostę, przyskoczyli ku niemu, ściskając mu kolana i po rękach całując, a Nikodemczyk, śmielszy nad inne, zawołał: »Starosto kochany mój, a co mi dasz znaleźnego? zgubiłeś, zgubiłeś; zgaduj co mam w kieszeni.«

»Puśćcie mnie dzieci,« odrzekł Dąbrowczyk, nié mam czasu; puśćcie mnie; nie pora po temu.«

»Tyś smutny jakiś starostko,« rzekł Nikodemek. »Jutro święto, nie będzie szkoły, a w co my się bawić będziemy?«

»Nie pamiętałem o tém;... zbiérajcie się chłopcy, odeszlę was do rodziców. Przez święto zabawicie się w domu, a pojutrze świtaniem znowu do szkoły. Idźcie, wdziejcie trzewiki, i poszukajcie czapek, spieszcie się, bo słońce już zachodzi.«

Na te słowa rozbiegli się żaki; Dąbrowczyk do swojéj powrócił gospody. Nękany niespokojnością, której powód nie był mu wiadomy, przechadzał się po izbie dumający, kiedy uchyliły się drzwi i wszedł do izby Nikodemek. Krok jego był powolny, twarz nie wesoła: »Czyżeście gotowi do drogi?« zapytał Dąbrowczyk.

»Jesteśmy,« odrzekł żak.

»Idźcie z Bogiem! bawcie się przystojnie, a rychło wracajcie znowu do mnie, bo mi smutno, kiedy was nie widzę.«

Nikodemek zbliżył się do starosty; pochwycił za rękę i całując ją mówił: »Starosto, zgubiłeś pismo z pieczęcią; leżało w téj izbie oto, na ziemi; jam je podniósł, oddaję wam.« I dobył z kieszonki pismo, staroście oddając mówił daléj: »Rozdarte jest, jak mi matka miła, ja je nie rozdziérał, ale jabym odgadnął, kto je rozdarł.«

»Tybyś odgadnął, jakim sposobem?« zapytał go Dąbrowczyk.

»Tym sposobem, że czytać umiém, a z tego com wyczytał w tém pismie, zgadnę, żeto nikt nie rozdarł, jeno Marcin.«

»Dziwię się nad tym domysłem twoim, mój Nikodemku.«

»Czyliż nie prawda, mój starostko? Oh, ja mam rozum, i wiém, że to pismo nie dobre dla Marcina, dla tego je rozdarł. A dla czegoto król *Casimirus* dał tobie rozkaz taki?... Ten Marcin musito być zły człowiek, kiedy zabić go kazano, a dla czegożeś go nie zabił starosto?«

»Daj pokój tym pytaniom Nikodemku, a kiedyś do drogi gotów, spiesz się, bo wieczór. Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecię.«

»Starosto, nasz kochany starostko, ja mam prośbę do ciebie.«

»Jakążto masz prośbę do mnie? powiedz.«

»Kiedy nie śmiém ciebie prosić o to.«

»Zgadnę twoję prośbę, i uprzedzę ją nawet; radbyś mnie prosić zapewne, ażebym pozwolił wam zabawić w domu dłużéj; może do przyszłéj niedzieli? Zezwalam na to, bo nie chcę, żeby nauka była dla was przykrością. Zostańcież tedy do niedzieli w mieście. W poniedziałek weźmiémy się znowu do książki.«

»Oj starostko kochany, tą razą co nie zgadłeś, to nie zgadłeś.«

»Powiedz więc, czego żądasz?«

»Starostko, będę dobry i pilny; pozwól mi pozostać przez święto jutrzejsze przy tobie, smutno mi opuszczać ciebie. Tamte dzieci niech sobie idą do miasta, kiedy chcą. Ale ja nie pójdę; nie każ mnie odchodzić. Każ mi zostać w zamku przy tobie, proszę ciebie.«

Rozczulony starosta uściskał Nikodemka. Chętnie zezwolił na to żadanie jego. Alić inne żaki, dowiedziawszy się, że Nikodemek zostaje, z takiemiż prośbami przebiegły do starosty.

Dąbrowczyk, ten przyjaciel dzieci, radował się nie mało, widząc takie obcych dziatek przywiązanie ku sobie, i pomyślał w duchu, iż ta miłość ku niemu, jako urzędnikowi krolewskiemu zaszczepiona w dzieciach, z czasem dobre dla kraju może przynieść owoce, i nie jeden z żaczków, gdy na męża wzrośnie, dobrą służbą stanie się pożytecznym królestwu.

Słońce zaszło, wieczór nastał pochmurny. Po wieczerzy, kiedy wszyscy spać się pokładli i pogaszono ogniska, starosta chodził jeszcze po izbie zamyślony, i co chwila wyglądał oknem na drogę od miasta wiodącą. Już noc była zupełna, nie wracały wysłane po mąkę wozy. Wzmagała się niespokojność jego. Wyszedłszy z izby, dążył ku bramie; długim krużgankiem przechodząc mimo izby, która była gospodą pomorskich ludzi, posłyszał głuchą jakąś wrzawę i szeptanie. Zdawało mu się, iż słyszał głos mówiącego Marcina. Zadziwiony tém nie mało, iż Pomorscy nie spią jeszcze; chwycił za klamkę od drzwi, ale te zamknięte były. Więc przyłożywszy oko do szczeliny drzwiczek, wglądnął do wnętrza izby, która oświeconą była. Ledwie co zakołatał do drzwi, aliści ucichło wszystko, światłość zgasła. Za kilkakrotném kołataniem, otwarto drzwiczki. Izba była ciemna, a głos jeden odezwał się do wchodzącego: »Kto idzie?«

Dąbrowczyk zapytał się o Marcina: żali go tu nié ma.

Odpowiedziano mu: że go tu nie było. Pomorscy już się pokładli, i spią od godziny.

»Ależ światło widziałem przez szczelinę drzwiczek.«

»Tlałci kaganek,« odrzekł Pomorczyk, »i zgasł w téj chwili.«

»A kędyż poszedł Marcin?«

»Nie wiém,« odrzekł tamten.

Starosta opuścił izbę, dochodził do bramy właśnie, kiedy posłyszał kroki biegnącego za nim Marcina:

»Bądźcie dobréj myśli, panie starosto,« rzekł Szyszowiecki; »jeżeli słuch mnie nie myli, słyszę oto jakiś hurkot po drodze, nie chybi to nasze wozy, trzeba im bramę otworzyć.«

»Cóżto znaczy?« zapytał starosta, wstępując w bramę. »Tylko jednego widzę tu strażnika? Przebóg, cóżto widzę? twarz mi nie znana tego chłopa; mów, jak się zowiész? pod którym setnikiem zostawasz? To Pomorczyk! Marcinie, ktoś zdradę tu knowa; Marcinie odpowiadaj!«

»Jutro dojdziecie prawdy, panie starosto,« odrzekł zapytany, »ukarzecie winnych wedle zasługi. Dziś nie czas po temu, nadjechały wozy, pomóżmy strażnikowi otworzyć wrota.« I nie czekając odpowiedzi, pobiegłszy ku bramie jął odsuwać belek, zamykający ją. Strażnik mu pomagał. Wypchnięte z przeciwnéj strony otwarły się wrota na oścież; zatętniał pomost pod końmi i wozami, w jedném oka mgnieniu w bramie pełno było zbrojnych ludzi.

Marcin krzyknął: »Macie go! to starosta!«

Dąbrowczyk, widząc zdradę, dobył miecza, i stanął do obrony gotów, ale obskoczony i przyciśnięty całym hurmem zbrojnych, nie mógł władać mieczem. Wraz chwycono go i powrozem skrępowano mu nogi i ręce.

Uzbrojona zgraja jednym pędem rzuciła się na żołniérzy królewskich. Porozdzielanych po gospodach i snem ujętych okropnie pomordowała. Nie którym zaledwie udało się śród pomroku nocnego wybiedz z zamku, i ucieczką ratować życie.

Postępkiem tym zdradliwym opanował Szyszowiecki zamek Słuchow; starostę Dąbrowczyka wsadził do wieży i szesnastu Polaków, którzy acz okropnéj uszli rzezi, nie podołali przecież wybiedz z zamku.

* * *

Król Kazimiérz, bawiąc pod ten czas w Bydgoszczy ze swojémi hetmany: Padniewskim, Duninem i Janem Kościeleckim wojewodą, radził nad sposobem prowadzenia téj długiej kłopotliwéj wojny. Radzili niektórzy połączonémi siły uderzyć na Chojnice, zostające w rękach Pomorzan. Wachał się jeszcze król Kazimiérz, niepewny co przedsięwziąć miał; kiedy go doszła żałosna nowina o utracie Słuchowskiego zamku.

Zafrasował się nie mało monarcha, i wyrzekał na starostę Dąbrowczyka, że tak mocnego zamku nie dodzierzał, i nie bronił, jakby należało. Biegały wieści, iżto zdradą się stało, ale wieści były niedokładne i niepewne. Atoli wypadek ten nachylił zdanie królewskie ku tym, co radzili ciągnąć ku Chojnicom; albowiem Słuchów blizki był jemu. Dobywszy zaś piérwszego, snadnoby było przerzucić się siłą całą na zamek drugi i odebrać go na powrót.

W skutku postanowienia wojennéj rady wojsko zwinęło namioty, a przyciągnąwszy pod Chojnice, zamknęło je ścisłém obleżeniem. Kiedy do koła murów zamkowych sypano wały, końcem zasłonienia żołniérzy od nieprzyjacielskich pocisków; wojewoda Kościelecki wysłał cztérdziestu drabików z tym nakazem, ażeby, podbieżawszy pod zamek Słuchów,

kilkomilową przestrzenią od obozu oddalony, wabili na rękę zamkniętych tamże Pomorzan, a z wywabionych pojmawszy którego, dostali tym sposobem języka; albowiem o napadzie i wzięciu zamku przez Pomorzan; jakoteż i sile ich załogi, nader niedokładną miano w obozie polskim wiadomość.

Byłto dzień dwunasty od owego, w którym Szyszowiecki zdradliwemi środki opanował był zamek. Uradowany, iż przedsięwzięcie swoje tak pomyślnie przywiódł do skutku, wzbił się z tego powodu w niemiłą dumę i pychę. Posła królewskiego, którym napominano go, aby zamek dobrą wolą oddał, a wolny będzie od kary za zdradliwy uczynek, nie przypuścił do zamku; ani okazał się powolnym Krzyżakom, żądającym wypuszczenia im Słuchowa, za wynagrodzeniem wielkiéj summy pieniędzy. Równie bezskutecznie Fryderyk margrabia Przegorzelski słał do niego prośbę, ażeby Słuchowa odstąpił za inną dzierzawę. Ufając warownym murom zamku i ludziom swoim, których nagromadził do Słuchowa, i uzbroił, przedsięwziął wytrzymać oblężenia najdłuższe; ileże żywności miał podostatkiem, a pomnożył takową cztérema wozami mąki, sprowadzonéj z miasta. Nie zaniedbał wszakże tych ostrożności, jakich położenie jego wymagało. I zaledwie opanował zamek, wysiekłszy królewską załogę, pozamykał i darniami zawalił wszystkie bramy; jednę wolną zostawiwszy do wycieczki potrzebną. W dnie i w nocy straż trzymał baczną na wszystkie strony. Starostę, ciężko okutego, więził w podziemnym lochu, i dzieci zatrzymał w zamku tym końcem, ażeby miał zakładników, i mieszczan tém więcéj do swojéj przywiązał sprawy.

Od opanowania zamku dnia dwunastego dano znać Szyszowieckiemu, że na gościńcu od Chojnic, pokazał się hufiec zbrojnych. Bylito drabiki Kościeleckiego w liczbie cztérdziestu. Podeszli pod zamek, i podnosząc krzyki, wyzywali oblężeńców, wabili na rękę. Oburzony Szyszowiecki, widząc tę wojska garstkę, wydał rozkaz do wycieczki.

Zebrali się Pomorscy w liczbie dwójnasób przenoszącéj hufiec Polaków, tak, iż mało kto w zamku pozostał; a wypadłszy bramą uderzyli na drabiki polskie. Kościeleccy nie stracili ducha i piérwsze natarcie odbili mężnie, odbili i drugie. Szyszowiecki, wściekły w gniewie, zatrąbił na zbór swoich, a po wypoczynku małym, natarł po raz trzeci tak gwałtownie i nagle, iż przeciwnicy, nie mogąc uderzeniu takiemu podołać, dali przełamać się szykowi, straciwszy kilku, już tył podawać zaczęli. Szyszowiecki był im na karku i gonił zbiegów, gniótł i mordował. Alić w téj chwili rozległ się od strony zamku okrzyk głośny, grzmot rusznicy uderzył, i ze strzelnic bramy zamkowéj wysunęła się chmura dymu.

Szyszowiecki to słysząc; i widząc, odurzał; nie zdołał pojąć, cobyto znaczyło? alić posłyszawszy jęk pacholków, którym z końmi rozkazał pozostać w tyle, i dojrzawszy, jak jeden ranny przewalał się po ziemi, a drudzy rozbiegali się na wszystkie strony, konie samopas puściwszy, otruchlał, i krzyknął na całe gardło: »Zdrada! na zamek! na zamek co żywo!« a nawróciwszy koniem gonił ku zamkowi, i pociągnął za sobą hufiec swój cały.

Kościeleccy, nabrawszy serca, za uciekającémi puścili się żwawą pogonią. Pomorzanie już pod zamkiem przywitani z murów strzałami i grzmotem rusznic, stracili ducha, a widząc z jednéj strony nieprzyjaciela na karku, z drugiéj zawarte bramy, w ucieczce zbawienia szukając, poszli w rozsypkę. Wielu legło na bojowisku.

Kościeleccy skoro przypędzili do zamku, otwarła się brama, a im naprzeciw wystąpił starosta Dąbrowczyk, gronem dziatek otoczony.

»Witaj nam, witaj starosto,« zawołał setnik dowodzący orszakiem Kościeleckich, »uratowany jesteś, a zamek znowu w naszym ręku. Ale Bóg widzi, że nie wiém, ani snadno mi pojąć, jakimto się stało obyczajem. Ktoż uwolnił was z więzów, i kto wybawiając was, tak dobrze przysłużył się królowi.«

»Oto moi zbawcy,« odpowiedział starosta wskazując na dzieci. »To wojsko dzieci tak dobrze zasłużyło się królowi, a tym wojskiem hetmanił maleńki Nikodemek.« Dąbrowczyk, ściskając Nikodemka, łzy miał w oczach. — »Ale jakże podołały temu dziatki?« zapytał się setnik. — »Potém o tém; w krótkości na teraz wam powiém, iż skoro Szyszowiecki, wyciągnąwszy ze zbrojną swoich drużyną, zostawił zamek bez żołnierza, Nikodemek, wraz z malenkiémi towarzyszami, przypadł do wieży, gdzie zamknięty byłem. Dzieci rozwiązały powrozy moje, a ja oswobodziłem moich szesnastu, w zamknięciu trzymanych. Co się daléj stało — wiecie; teraz dziękujmy Bogu i chwalmy sądy jego! Bóg wybrał maluczkich dzieci do wykonania wielkiéj sprawy. Zdarzenie to weźmy w pamięć wieczną i taką z niego wyczerpniéjmy naukę: iż każdy dobry uczynek, wyświadczony dziecku, równie jak dorosłemu mężowi, zawdy pociechę, a często przyniesie i pożytek.

JADAM Z ZATORA.

— Ze Lwowa. —

W kalendarzyku warszawskim politycznym, na rok 1835, jest wiadomość historyczna o mieście Czersku umieszczona (z dołączeniem ryciny, przedstawiającej: szczątki zamku Czerskiego, zdjęte z natury w r. 1834), napisana przez W. H. Gawareckiego. Między innemi jest tu wspomniany na stronicy 16tej: »Dzwon, pozostała »pamiątka istnienia tu kolegiaty, noszący imiona Piotra »i Pawła, na którym jest odlany liczbą arabską rok 1004, »znajduje się dotąd przy parafijalnym kościele w Czersku, »i uważać go potrzeba za najdawniejszy zabytek tego »rodzaju..... można przeto przypuścić domniemanie, iż »dzwon w Czersku jest jednym z najpierwszych po przyjęciu wiary Chrystusa w Polszcze, a dla tak wielkiéj »starożytności godzien zachowania. Jest już spękany, »lecz zdatny do użycia. U wierzchu jego mają być jakieś »napisy, te bliżéjby rozpoznać wypadało. Datę na nim »położoną, procz naocznego o niej się przekonania, »stwierdzają jeszcze Inwentarze kościelne.« — Byłoby rzeczą nader pożądaną, gdyby pismo zaszczytnie wychodzące, pod napisem: »Przyjaciel ludu,« dało nam wyobrażenie tego czerskiego dzwonu z osobném odryciem podobizny *(fac simile)* napisów na nim się znajdujących, i dopełniło tym sposobem tę ważną wiadomość, udzieloną nam przez pana W. H. Gawareckiego, o tak starodawnym i pierwszym w Polszcze dzwonie, a oraz o najstarożytniejszym zachowanym w Polszcze napisie. A.

Do niektórych magazynów muzycznych w Warszawie nadeszło ostatnie dzieło Karola Lipińskiego: »Waryjacyje na skrzypce z akompanjamentem wielkiéj orkiestry na tema kawatyny Rossyniego: *Ecco ridente il cielo,* dedykowane panu Adamowi Pstrokońskiemu,« dzieło 20. Znawcy uważają, że ten wirtuoz zmienił nieco w tym utworze styl swój dotychczasowy. Piękności i trudności zdają się w nim walczyć o pierwszeństwo. (K. W.)

Pierwszy tom dzieła G. A. Stenzel'a: *Scriptores rerum Silesiacarum* (Zbiór szlązkich dziejopisarzy), który wyszedł na widok publiczny, zawiera cztery latopisy, mogące nie tylko samego Szlązaka, ale nawet wszystkich badaczy dziejów interesować, z tych trzy pierwsze nadzwyczajnie zblizka obchodzą naród polski, gdy jak wiadomo, i jak uwaga na 34. stronicy tego dzieła dowodzi, Szlązk jeszcze w 15tym wieku składał część dawnéj Polski. Ostatni z tych latopisów tycze się historyi miejscowéj, z tém wszystkiém przechodzi często ten zakres.

W Lipsku pojawiają się księgarnie jak grzyby z ziemi; liczba ich dochodzi teraz do 112!—Kiedy przed 00 laty, nie dawno zmarły, zacny księgarz Kummer zamyślał sklep w Lipsku założyć, znajdowało się podówczas dwanaście tamże księgarni, a ówczesny księgarz Reich na tę propozycyję taką mu dał odpowiedź: »Jest nas już 12! my sami zaledwo obstać możemy! 13 księgarni to za wiele!« A teraz jest ich 112! lubo większa część onych mogłaby za godło wziąć sobie ten dwuwiersz Szylera: »Przez długie lata wodę czerpiemy sitem i wylęgamy kamień, lecz ani się kamień nie rozgrzéwa, ani napełnia sito.«

Konie bardzo podniosły się w cenie, i tak w Lipsku nie dawno pięć starych chłopskich fryzów, którémi ani wozem, ani wierzchem jechać nie można, przedano na publicznéj licytacyi za 700 talarów, a chociaż nabywca tychże nazajutrz wszystkie powieszał, jednakże był kontent z kupna, bo te konie są pędzla sławnego Pottera.

Czytamy w Gazecie Petersburskiej z d. 18. czerwca co następuje: »W chwili, gdy ze wszech stron nienawistne podnoszą się przeciw Rossyi wyrzekania, jakże pocieszającą jest rzeczą usłyszeć, że i w obcym kraju powstają głosy przeciw tym nadużyciom wolności druku i mówienia. Z téj strony rzecz biorąc szczególniejsze ma zalety dzieło, pod tytułem: *Handbuch der allgemeinen Staatskunde von Europa,* przez dr. Fr. Wil. Schubert'a, profesora historyi i polityki w uniwersytecie królewieckim. Pierwszego tomu część pierwsza wyszła pod nazwą: »Wstęp ogólny i Państwo rossyjskie (Królewiec, 1835).« Znajdujemy tu najważniejsze zdarzenia, stanowiące politykę Rossyi, jasno i dobitnie wyłożone... Mamy nadzieję, że zagranicą czerpać będą z tego źródła czystsze pojęcia o Rossyi, niż te, które dotąd krążyły po Europie. Jeżeli to nie małą zaletą, że autor maluje zdarzenia wiernie, to jeszcze godniejszy pochwały prosty jego sposób pisania, dowodzący, że prawda nie potrzebuje pożyczonych błyskotek. (z Gaz. Wied.)

Arcyksiążę Ferdynand Tyrolski trzymał na dworze swoim karła, wysokiego na trzy piędzi, przytém hajduka, który miał wzrostu stóp 11.

Aktor Mevius grał na wrocławskim teatrze rolę Murzyna. Przez nadzwyczajny pospiech w toalecie zapomniał on wdziać czarne rękawiczki, i wyszedł na scenę z afrykańską twarzą, a białémi rękoma. Publiczność postrzegłszy ten błąd, gromiła aktora sykaniem i gwizdaniem. Mevius opamiętawszy się, nie widział innego ratunku, jak ukrywać ręce, przezco wreszcie sceny grał bardzo nienaturalnie i tylko pomnożył nieukontentowanie widzów. Tymczasem kończy się jego scena; publiczność szydzi— lecz jakież powstało zadziwienie, gdy Murzyn, zawołany przez swego pana, wyszedł znowu na scenę, jak pierwéj z białémi rękoma! Śmiech, świstanie, hałas. Mevius na to wszystko nie zważa. Gra śmiało, i w ciągu gry, niby od niechcenia, zdejmuje cielistą rękawiczkę, z pod któréj czarne pokazał ciało! Publiczność oniemiała. Murzyn i drugę potém odsłania rękę, a powszechny oklask wynagradza mu dowcipną poprawę nieuwagi.

Jako nowy artykuł w handlu pojawił się teraz olej z chrząszczów. Towarzystwo założone na ten cel, zebrawszy w Kwedlinburgu 19 milijonów tych owadów, olej bić z nich zamyśla. Poczynione w tej mierze próby okazały, iż z 8 garncy chrząszczów, otrzymano 3 garnce oleju. Chrząszcze wkładają się w gliniane garnki, których otwory założone są słomą lub kratą drucianą; takowe odwrotnie stawiają się nad jakiém naczyniem, chrust się nad niemi zapala i tak olej ścieka. Z pozostałych części można gaz wyrabiać, a z tych pozostałości otrzymywać węgiel do robienia niebieskiéj farby berlińskiéj.

Zapał, z jakim Holendrzy kochają się w tulipanach dotąd nie ostygł. Najnowszy tulipan, zwany *Cytadella Antwerpska,* kupiony został przez pewnego miłośnika kwiatów za 16,000 frank.

Do Paryża przywieziono sztandar ze srébra, wartający od 30 do 40,000 frank., który zmarły król würtemberski przeznaczył był w darze dla Napoleona. Chorągiew ta ozdobioną jest orłem francuzkim i symbolicznemi godłami zwycięztw cesarstwa francuzkiego. Teraźniejszy onéj właściciel, p. Bührer w Ludwigsburgu, chce ją przedać rządowi francuzkiemu dla którego z muzeów.

Wiktor Hugo urodził się d. 26. lutego 1802 r. Ojciec jego, będąc jenerałem w armii Napoleona, brał go ze sobą po różnych krajach. Zwiedził z nim Elbę, Włochy, Hiszpaniję; dziecięcy jego umysł nie mógł wszakże odnieść ważniejszych korzyści, bo tylko pamięć ubarwił widokami cudownych okolic; ze wszystkich zatém zdolności najpierwéj rozwinęła się w nim wyobraźnia, co nie mało przyczyniło się, iż Hugo uzmysławia pomysły najoderwańsze, i że w świat ideów przenosi wszystkie barwy i kształty świata materyjalnego. Wszystkie dotąd znane portrety Huga są niewierne. Twarz jego piękna i otwarta, czoło wysokie, znamionuje wyobraźnię i pamięć. Oczy mają wyraz słodki i nie tak są zapadłe jak na portretach, a w dolnéj części twarzy przebijają

się żądze zmysłowe. Hugo rozpoczął swój zawód literacki najgorzej, bo sięgał po nagrody akademickie. W młodzieńcu, powołanym do wysokich przeznaczeń, powinna być pewna czystość, wstydliwość umysłu, gardząca temi walkami i tryumfami akademicznemi. Miał on ledwie lat 15, kiedy się o tę nagrodę dobijał. Od r. 1818 do 20 otrzymał w akademii *gier kwiatowych* trzy nagrody. Chateaubriand nazwał go *dzieckiem jenijuszu;* było to wyraz nie roztropny, lubo pełen dobroci, który dziecko natchnął mężkę dumą i próżnością jenijuszu, za nim się jeszcze talent rozwinął. Z resztą nie można go lepiéj scharakteryzować, jak temi słowy: że ma bujną wyobraźnię, podsycaną niewyczerpaną pamięcią, bez żadnéj czułości, bez równowagi rozsądku, lecz czasami zręcznie udający piérwszą, i w świetnych zamiarach i prawych dążeniach niekiedy spotykający się z drugim.

Basza egipski odstąpił od owego zamiaru rozrzucenia jednéj z największych piramid egipskich; albowiem budowniczy przedstawił mu, że ta praca więcéj kosztować będzie, niż sprowadzenie kamienia z łomów w Mokatem.

Globe dziwi się niezmiernie, że muzeum brytańskie nie przedsięwzięło żadnego kroku do zapewnienia sobie tak ważnéj książki, jaką jest Biblija Karola Wielkiego, a którą publicznie sprzedano. Jestto dzieło oprawne kosztownie w axamit, w jednym tomie *in folio*. Karty, których jest 449, są z pargaminu w rozdzielonych kolumnach. Tytuł ozdobny obficie złotem i kolorami. Prócz tego zawiéra ta biblija cztéry duże obrazy, świadczące o stanie sztuki tamtych czasów; trzydzieści cztéry wielkich liter początkowych, malowanych i obejmujących w sobie herby, godła, oraz historyczne podania; a nakoniec znaczną ilość liter mniejszych, także malowanych. Rzeczoną biblię ukończył w r. 800 Alkuin, któremu poruczył był Karol W. przejrzenie łacińskiego tłumaczenia pisma świętego, dokonanego przez ś. Hieronima. Alkuin posłał ją przez swego przyjaciela i ucznia Nathanaela do Rzymu, gdzie tenże doręczył ją Karolowi W. na d. 1. stycznia 801 r., w czasie obrzędu koronacyjnego. Gdy Lotar I., wnuk Karola W., po utracie tronu francuzkiego udał się do klasztoru Prum, podarował temuż klasztorowi biblię. W r. 1576 zwinięto klasztor, a Benedyktyni przenieśli się z biblija do klasztoru Gradis-Valis, nie daleko Bazylei. Tam znajdowała się aż do wkroczenia Francuzów r. 1793, w którym czasie stała się własnością niejakiego pana Bennot, wiceprezesa trybunału w Delmont. Z rąk tego przeszła do p. Speyr-Passavant, ostatniego właściciela.

Następujące doniesienie umieszczono w pewnéj gazecie: »Gdy niżéj podpisany, okolicznościami ma ręce związane i nie może się trudnić nadal swojem gospodarstwem, przeto postanowił sprzedać takowe z wolnéj ręki.«

Pewien chemik w Bostonie wynalazł tak zwany zwierciadlany papiér, za pomocą którego, kto zechce, bez żadnéj nauki, może rysować i malować. Papiér ten ma własność, że jak szklanne zwierciadło odbija wszystkie przedmioty, lecz w stosunkowo mniejszym rozmiarze. Gdy zaś ten nowy wyrób, jak wszelki papiér przyjmuje rysy ołówka i pociągi pędzla, przeto też wszystko co się w nim odbija, jakoto: osoby, krajobrazy, kwiaty, i inne przedmioty, mogą być na nim narysowane, albotéż stosownémi farbami powleczone. Jeżeli ten zwierciadlany papier rozejdzie się w handlu, natenczas wszelkie inne sposoby prędkiego malowania upaść muszą

W sztuce latania robiono od dawna bardzo wiele, lecz zawsze bezskutecznych doświadczeń. Za wzór brano sobie zwykle skrzydła ptasie, a nawet i niektórych owadów. Jednakże naśladowanie to nie przyniosło żądanych wypadków, bo wszystkie doświadczenia najczęściéj kończyły się losem Ikara. Pewien badacz przyrody i mechanik w Bostonie zastanawiał się nad składem skrzydeł wszystkich istot latających, i w końcu doszedł do tego odkrycia, że błony skrzydłowe u niedopérzów najlepiéj przydadzą się do ludzkiego lotu. Na ten cel spoił on misternie błony pargaminowe, i na wielkiéj równinie przedsięwziął swoje próby, które dowiodły, iż skrzydła niedopérza, na większą zrobione miarę, mogą nas unosić w powietrze.

Pewien właściciel huty szklannéj w Anglii na wystawę płodów przemysłowych w Londynie posłał szalową tkaninę z kolorowych szklannych nitek; któryto niesłychany utwor powszechną wzbudza uwagę, i w Sommersethouse na pokaz przechowany zostanie. Tkanina ta jest za szkłem w ramy oprawna; dla swojéj delikatności i sztuczności, miana jest za arcydzieło szklarstwa i tkactwa.

W Chichester pokazują teraz mikroskop, który o 3 milijony razy przedmioty powiększa.

Największy format gazet angielskich został ustanowiony przez bil stęplowy na 1530 cali kwadr. (13 stóp kwadr.) Największe gazety francuzkie niczém są w porównaniu z tym ogromem, gdyż np: *Constitutionel* nie ma, jak 390 cali kwadr.

Londyńskie zgromadzenie Wesley'oskiego towarzystwa missyjnego udziela teraz nauki religii 150,000 poganom; a członkowie onegoż przetłumaczyli pismo święte na 30 różnych języków.

Od senatu Pensylwanii, w Ameryce półn., podano 153 stóp długą, a przez 5,000 kobiét podpisaną petycyję przeciw pomnażaniu się szynków wina i wódki w Filadelfii. — Utworzyło się tu towarzystwo przeciw paleniu tytoniu i zażywaniu tabaki, którego prezydent przez pisma publiczne czyni odezwę do publiczności, aby znajdowała się na odczytach dr. Smyth-Royer: o szkodliwości tabaki.

Wolę piękną i roztropną kobietkę nad najbieglejszego adwokata. Posłuchajmy jaki koniec wzięła pewna sprawa, prowadzona przez rozsądną i ładną kobietkę. Jakiś wielce szpetny adwokat stawał w obronie pewnego tapicéra przeciw ładnej damie, a rozprawiając széroko i długo, tak znudził stronę przeciwną, że z niecierpliwiona nie dała mu dłużéj mówić: »Cała sprawa tak się ma panie prezydencie: przyrzekłam oto temu tapicérowi 100 talarów za niderlandzkie obicie, jeżeli takowe będzie pięknie malowane w tak śliczne figurki, jak wćpan panie prezydencie; lecz on natomiast daje mi brzydkie, z tak szpetnymi Chińczykami, jak szanowny adwokat. Czyż słuszna, abym 100 talarów płaciła?« Adwokat zmieszał się i nie wiedział, co powiedzić. Prezydent uśmiechał się w duchu. Sędziowie roztrzygnęli sprawę, i piękna kobietka wygrała.

O b i e g m y ś l i. Oprócz promieni słonecznych nic nie obiega prędzéj okręgu ziemskiego, jak myśl dziwaczna. I tak: Jakiś żartowniś w Nowym-Jorku wpadł przeszłéj jesieni na pomysł ogłoszenia urojonych odkryć na księżycu przez sławnego astronoma Herschla. Bajka ta obleciała cały świat; w przeciągu trzech miesięcy przetłumaczono ją na niemiecki, francuzki, hiszpański, włoski i polski języki. — O dziwne szczęście szalonego pomysłu! Jakże nierównie trudniéj, aby n a u k o w a idea, mająca na celu istotną poprawę w krainie myśli, utorowała sobie tak prędką drogę! Jedno angielskie czasopismo zrobiło wyrachowanie, że lat dwadzieścia musi upływać, zanim poprawa w umiejętności jakiéj, lub sztuce otrzyma prawo obywatelstwa w encyklopedyi, i że najmniéj pół wieku czekać potrzeba, aby takowa idea, jeżeli do tego nie rymuje z istniejącym systematem, przez uniwersytety uznaną i uchwaloną została.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.